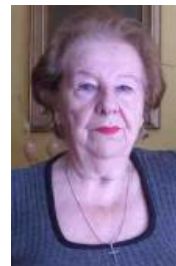


MARIA SOWA

ur. 1926; Zamość



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, życie codzienne, praca zawodowa, lubelska gastronomia, praca w gastronomii, restauracje w Lublinie, WPHS, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Spożywczego

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Spożywczego i trudności z zaopatrzeniem restauracji

Jeżeli ja prowadziłam Lubliniankę, a miałam dział cukierniczy i w lecie lody, to właściwie dla wszystkich zakładów w gastronomii myśmy robili lody. To wtedy jeszcze nie było maszyn, tych takich lodów z automatów, bo to jeszcze nie ta pora, tylko się lody kręciło w tym bębnie takim, wie pan, prawdziwe lody: mleko, jajka, żółtka, tam różne proszki, zapachy, smaki. To siłą faktu, ci ludzie byli potrzebni. Ale, żeby produkować, to trzeba mieć towar, więc myśmy mieli, ci którzy mieli właśnie takie zakłady, gdzie coś produkowali, to mieli zapewniony towar w WPHS-ie i WPHS musiał dawać, były przydziały tak zwane. Nie było pomarańczy w sklepach, ale ja je zawsze miałam, bo były potrzebne do produkcji. Powiedzmy, była ograniczana ilość czekolady, ale ja musiałam mieć tą czekoladę do produkcji, prawda. Czy jakiś tam spirytus, przecież spirytus się do wielu kremów dodaje, przynajmniej w tamtym czasie się dodawało według receptury. I to były te priorytety wtedy, z których ja korzystałam, bo musiałam mieć te rzeczy. Czy jeżeli, powiedzmy, robiło się na przykład jakąś imprezę prowadząc restaurację, jakieś wesele, wynajmowali lokal na noc na przykład, to ja wtedy pisałam do działu zaopatrzenia, że mam tego i tego dnia na sto osób wesele i potrzebuję dodatkowo powiedzmy tam tyle schabu, tyle wieprzowiny, tyle szynki, tyle kiełbasy. I ja to dostawałam, bo wiadomo było, że ja to muszę dostać. Że to pójdzie później w obrót, to jest później na dobro zakładu i całego przedsiębiorstwa, bo o tyle obrót wzrastał. Bo nocą to był już dodatkowy obrót, restauracja była czynna normalnie, a w nocy to była już działalność taka poza godzinową.

No z tym zaopatrzeniem to powiem, że kłopoty z zaopatrzeniem były bardzo duże zaraz na początku po wyzwoleniu. To były kłopoty rzeczywiście poważne. Ale później to już było coraz więcej hurtowni, coraz więcej było produkcji. To już nie było takich dużych problemów. Były ograniczenia niektórych towarów, tak zwanych luksusowych.

Była taka sprzedaż wiązana, bo było bardzo dużo ryb, tego dorsza, którego nienawidzili klienci. Teraz w ogóle prawie dorsza nie mamy, a dorsz jest wspaniałą rybą przecież, bardzo smaczną. Takie były uprzedzenia. No to była sprzedaż wiązana. Że jeżeli się wzięło coś tam, to trzeba było jeszcze wziąć 10 czy tam 15 kilo, to zależy od wielkości zakładu, tego dorsza i trzeba było go jakoś wyprodukować i sprzedać. Tak samo było z alkoholami. Na jakąś pewną ilość czystej wódki, zależy ile się brało tej czystej wódki, to się dostawało lepszej, tych wódek gatunkowych, ale to już były małe ilości, jakieś szampany, coś, to już było wydzielone. Tego nie wolno było sobie wziąć. Na przykład jak u mnie w Lublinie bardzo szły koniaki, bo to była wtedy pora na picie koniaku. Wszyscy pili koniak raptem, czy dobre wina jakieś z importu. To ja dostawałam te wina, ale to było wszystko nie tyle ile ja bym chciała, tylko tyle ile mogę wziąć. Tańszego wina dostawałam bardzo dużo. Tak samo z piwem. Piwo było, na przykład już się pokazywało Radeberger czy Pilsner, no i nasze to rodzime piwo lubelskie wtedy, teraz się nazywa Perła, ale kiedyś się nazywało Piwo Lubelskie. To ja dostawałam ileś tam tego Lubelskiego, bez ograniczeń, ale już tego Pilsnera i tego Radebergera i tam jeszcze jakiegoś innego lepszego, to ja dostawałam już niewiele. To już było takie tam po znajomości, dla lepszych konsumentów stałych.

Wtedy znajomości odgrywały dużą rolę i już wtedy się zaczęły łapówki w tym czasie. Bo jak ja sobie jechałam do WPHS-u sama, żeby sobie zobaczyć, co jest na półkach i chciałam pozamawiać sobie sama towar, który później dawałam tą rozpiskę do mojego działu zaopatrzenia i oni mi to przywozili. Bo myśmy po nic nie musieli chodzić osobiście, bo wszystko było na podstawie zamówienia dostarczone do zakładów. To już ja miałam z głowy te rzeczy. Ale jak chciałam dobrze żyć z magazynierem, to musiałam wziąć jakąś bombonierkę, czy coś, żeby mu wepchnąć, to on już wtedy troszkę lepiej ze mną rozmawiał. Był taki świetny pan, już nieżyjący dawno, pan Stanisław w WPHS-ie, to jak ja mówiłam: „Oj panie Stasiu, niech pan już nie będzie taki skąpy, tam 20 butelek pan mi daje Pilsnera, czy tam 30 Radebergera, to, co ja mam. To jest na jedno łyknięcie dla Lublinianki. No już niech pan nie będzie taki srogi”. No to on mi dał podwójnie powiedzmy, bo: „No co ja mam z panią zrobić? No dobrze, tego”. Tak że to już się zaczęły takie układać te stosuneczki, układy tak zwane. Jak się miało układ, to coś tam można było uszczknąć więcej, dla dobra zakładu oczywiście.

WPHS to był lubelski tylko. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Spożywczego. WPHS zaopatrywał całe miasto. Podejrzewam, że może i spod Lublina jakieś tam, już tego panu nie powiem, bo nie wiem. Ale Lublin na pewno zaopatrywał. Oprócz WPHS-u, naszym źródłem zaopatrzenia były zakłady mięsne. Przecież były duże oficjalne zakłady mięsne w Lublinie, to ja do zakładów mięsnych już nie jeździłam, bo to wiadomo było, że jak pan dostanie tam tyle schabu, i tyle wołowiny i jakieś tam jeszcze cielęciny, to już pan musi brać więcej mięsa z kością, bo to już były takie rozdzielniki. To tam już nie bardzo można było pogrymasić. To ja zamawiałam sobie

co ja chcę i też nie zawsze wszystko dostawałam, tylko w ograniczonych ilościach. To znaczy te lepsze gatunki mięs i wędlin, takie jak szynka, jak polędwica to już było troszeczkę ograniczane. Natomiast kiełbas to mogłam brać tonami, tyle ile chciałam. Ale nie potrzebowałam tego, bo przecież się nie zużywało.

Data i miejsce nagrania	2008-01-25, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Jakub Skowron
Redakcja	Maria Radek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"